



ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

Z. KWIECIŃSKA

Na Placu Zwycięstwa 22 stycznia

— Posiedziałbyś chociaż pięć minut w domu — powiedziała matka odstawiając ciężki garnek z pieca. — Cały dzień nic tylko lata i lata.

— Już tylko dzisiaj, mamó! — Muszę przecież manifestację zobaczyć — odpowiedział Walek, naciągając, za wąską trochę, kurteczkę i pobiegł na Plac Zwycięstwa, ale tam jeszcze nikogo nie było. Zaczął rozglądać się za jakimś wygodnym miejscem, skąd mógłby wszystko widzieć. Zawsze przecież trzeba obmyśleć. Znalazł wreszcie framugę na drugim piętrze rozwalonego domu. Można było tam wejść po cegielkach, jak po schodkach. Wprawdzie gruz sypał się spod nóg i skądś z góry na głowę, ale za to widać było cały plac het daleko i nikt nie zasłaniał. Już Walek zinarzył porządnie siedząc na wysokim cyplu, gdy nagle zauważył go milicjant.

— Ej, ty szkrabie, złażno w tej chwili stautąd!

Próbował Walek udawać, że nie może zejść, że się boi, ale tamten się uparł i nie odchodzi.

— Po coś tam wlaź? Skaranie boskie z wami. Teraz co? Straż pożarną wzywać czy co, żeby cię zdjęli?

To już nie żarty. Jak przyjedzie straż, to się zrobi zbiegowisko, wszyscy będą o tym gadać i na pewno ojciec się dowie. A wtedy... lepiej już nawet nie myśleć co będzie wtedy.

— Nie, proszę pana, ja tak sam pomalutku...

I nim milicjant zdążył odpowiedzieć, Walek smyk, smyk i już jest na ziemi. Odbiegł kawalek, rozejrzał się. Co tu robić? O tym, żeby na ruiny znowu się drapać mowy nie ma, bo pilnują. Zawrócił do domu. Pędzi przez Nowy Świat, aż się zadyszał, żeby też jeszcze zdążyć i tego Staszka wcześniej z domu wyciągnąć. We dwójkę zawsze raźniej i łatwiej coś obmyśleć. Ale do domu nie dobiegł, bo mu drogę jak raz koło pomnika Kopernika zagroził pochód. Ludzi pełno, idą ze sztandarami, z transparentami, muzyka gra... Przyczepił się Walek do jednej kolumny i maszeruje razem, w nogę.

Ale w tej kolumnie czuł się nie dobrze. Sami obcy nie ma do kogo ust otworzyć i najważniejsze to, że ciągle mówią o nim, jak o małym głupim dziecku. Zatrzymał się. Przeczekać lepiej, może gdzieś dalej będą znajomi. A na ulicy tłok, że opisać trudno. I ciągle ktoś

Walka potrąca i popycha. Aż go wreszcie spotkał ojciec.

— Tyś już nie mógł sobie innego miejsca znaleźć. Widzisz, że naród idzie i stoisz na samym środku ulicy. Chodźże z nami — i wziął syna za rękę.

Walkowi aż oczy rozblęły. Bo teraz już idzie jak wszyscy w szeregu, nie jak jakiś malec, którego każdy potrąca i który wszystkim przeszkadza. A w następnym szeregu nieśli czerwony, wielki transparent, przez całą szerokość jezdni z napisem: „Niech żyje Rząd Jedności Narodowej bez Mikołajczyka“. Chciał Walek koniecznie chociaż przez chwilę nieść ten transparent, ale mu nie dał.

— Ciężki — mówią — i jakżeby to wyglądało, taki malutki i niesie taki wielki transparent.

Na pocieszenie dali mu czerwoną chorągiewkę i z nią już paradował aż do samego placu. A na placu ludzi... aż czarno. Są czerwone sztandary...

— A te zielone, tatusiu, to Stronictwo Ludowe, tak?

— Tak synku.

— A te kolorowe, takie jak tęcza, ot tam tatusiu, patrz, to czyje?

— Te tęczone to są spółdzielców.

— Cały naród razem, prawda?

— O, wasz chłopak, nie w ciemnię bity — odezwał się jakiś starszy robotnik, który stał obok ojca. — Interesuje się wszystkim i wszystko rozumie.

— A tak, on już taki. O wszystko mnie zawsze wypytuje. Gdyby nie taki urwis był, to bym mógł powiedzieć, że to nie tylko syn, ale i dobry towarzysz.

— Oj, tatusiu, a tam co to? — krzyknął nagle na całe gardło Walek, ale ojciec już nie odpowiedział. Wyprostował się, jak żołnierz na baczność i zdjął czapkę. Wszyscy stali z odkrytymi głowami, wojskowi salutowali, orkiestra grała hymn Narodowy.

Cichutko na placu jak makiem zasiał, nikt się nawet nie ruszy. Śnieg pada drobnymi grudkami i sypie w oczy. I nagle, jakby grzmot jakby się powietrze rozerwało:

„Niech żyje! Towarzysz Wiesław niech żyje!“

Ojciec porwał Walka na ręce i podniósł, jak małe dziecko, wysoko w górę. Daleko na trybunie, zobaczył Walek pana

w czarnym palcie i kapeluszu. Ale nawet nie zdążył się dobrze przyjrzeć — krzyczał razem z wszystkimi.

— Niech żyje! Niech żyje!

Potem były przemówienia i orkiestra grała. Walek się przysłuchiwał, ale nie wszystko rozumiał.

Potem była jeszcze defilada, i Walek był taki oszołomiony, że już zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Ojciec mocno trzymał go za rękę.

— Chłopaku — krzyczał — zgubisz mi się gdzieś w tym tłumie.

A gdy wrócili do domu, w bramie spotkali matkę. Też zmarzniętą, też zaśnieżoną i też szczęśliwą i roześmianą.

Cały dzień już był taki świąteczny. A najszczęśliwszy był Walek, bo do wieczora mógł ojca zamęczać pytaniami i ojciec na wszystko cierpliwie odpowiadał. Więc mówił ojciec o Bloku Demokratycznym, o ludziach, którzy Polskę odbudowują, którzy nie szepczą ani sił, ani czasu, byleby wszystkim było lepiej i lżej żyć.

— A ty też, tatusiu, pracowałeś i pracujesz, prawda? Ty też odbudowujesz?

— Ja też.

— Jeszcze by też nie — wtrąciła matka. — Wiesz przecie, że ojciec od samego początku, od wyzwolenia w fabryce pracuje. Pierwszy się tam stawił.

— Tak. Jeszcze tam były same ruiny, jeszcze nie wiadomo było do czego się pierwszej zabrać. Ale sam nie dałbym rady, choćbym nie wiem jak pracował. Wszyscyśmy pracowali, wszyscy wspólnie. Jeden może trochę lepiej, drugi może trochę gorzej, ale pracowaliśmy wszyscy i dlatego teraz nasza fabryka już idzie...

— Tatusiu, a ja? A ja co?...

— A ty, synku, musisz się jeszcze dużo, dużo uczyć. Wywalczyliśmy tę demokrację po to, żebyście wy mogli się uczyć, żebyście więcej umieli, niż my i potrafili stworzyć jeszcze lepsze życie.



MIKOŁAJ OSTROWSKI

W dzień śmierci Lenina

Urywek z powieści „Jak hartowała się stal“

Gdy 21 stycznia 1924 roku umarł Lenin, wódz i opiekun ludu pracującego, cały Związek Radziecki okrył się żałobą. Dniem i nocą, mimo trzaskającego mrozu, przed trumną wodza i opiekuna przechodziły tłumy.

I nie tylko Związek Radziecki obchodzi rocznicę Jego śmierci. Obchodzi ją cały świat, bo Lenin myślał i starał się dopomóc wszystkim, nie tylko Rosjanom.

Gdy Polska była jeszcze pod carskim zaborem, Lenin pierwszy domagał się Jej wyzwolenia, a gdy zwyciężyła rewolucja, On pierwszy ogłosił, że Polska ma prawo być niepodległą.

* * *

Lodowatym zimnem oznajmił rok tyżając dziewięćset dwudziesty czwarty swoje wkroczenie w dzieje. Wściekł się styczeń na zasypany śniegiem kraj i porczynając od drugiej połowy zawył wichrami, bezustanną zamiecią.

W pokoju, w którym znajdował się telegraf stacji Szepietówka, pierwsze trzy aparaty Morsego nie zaprzestają swojej bezustannej rozmowy, zrozumiałej jedynie dla wprawnego ucha.

Telegrafistki są młode, długość taśmy nadanej przez nie od pierwszego dnia pracy nie przewyższa 20 kilometrów, podczas gdy starszek ich kolega, rozpoczynając już trzecią setkę kilometrów. Nie liczy jak one taśmy, nie marszczy czoła, układając trudne litery w zdania, wpisując na blankiet słowo za słowem, przysłuchując się dźwiękom aparatu. Odbiera, kierując się słuchem: „Do wszystkich, wszystkich, wszystkich!“

Notując telegrafista myśli. „Zapewne znów okólnik w sprawie walki z zaspami“. Za oknem szaleje zamieć, wicher szucha w szyby garstki śniegu. Telegraficiele przywidziało się, że ktoś zapukał do okna. Odwrócił się i mimo woli zachwycił się deseniem wyrysowanym przez mróz na szybach. Żadna ręka ludzka nie potrafiłaby wyrzeźbić tak misternej grafiki z fantastycznych liści i lodu.

Widok ten odwrócił jego uwagę: przestał przysłuchiwać się dźwiękom aparatu. A kiedy oderwał wzrok od okna, wziął taśmę w rękę, żeby przeczytać przepuszczone słowa.

Aparat nadawał:

„Dwudziestego pierwszego stycznia o godzinie szóstej minut pięćdziesiąt...“

Telegrafista szybko zapisał, rzucił taśmę i podparłszy głowę dłońmi zaczął słuchać.

„Wczoraj w Gorkach zmarł...“ Telegrafista wolno notował. W ciągu swego życia słyszał wiele radosnych i tragicznych wiadomości, pierwszy dowiadywał się o cudzym nieszczęściu i szczęściu. Dawno już przestał wnikać w sens skąpych, oderwanych słów, łowił je uchem i mechanicznie notował na papierze, nie zastanawiając się nad ich treścią.

Oto teraz ktoś umarł, kogoś o tym zawiadamiają. Telegrafista zapomniał o nagłówku: „Do wszystkich, wszystkich, wszystkich!“ Telegraf nadawał: „Włodzimierz Iljicz“, — i stary telegrafista tłumaczył uderzenia młoteczka na litery.

Siedział spokojnie, trochę zmęczony. Umarł gdzieś jakiś Włodzimierz Iljicz, komuś zakomunikuje on zanotowane dziś tragiczne słowa, ktoś zapłacze z rozpaczy. Telegraf wystukiwał kropki, myśl-



W. I. Lenin

niki, znów kropki, znów myślówki, a on ze znanych sobie znaków układał już pierwszą literę; wypisał ją na blankiecie — była to litera „L“. Po niej napisał drugą „E“, obok niej starannie „N“, niezwłocznie dodał do niej „I“ i już automatycznie wypisał ostatnią literę „N“.

Telegraf nadal pauzę i telegrafista na dziesiątą część sekundy zatrzymał swój wzrok na napisanym przez się słowie „Lenin“.

Aparat nadawał dalej, ale myśl, natknąwszy się przypadkowo na znajome imię, wróciła do niego. Telegrafista raz jeszcze spojrzął na ostatnie słowo Lenina. Co? Lenin? Kilka chwil telegrafista przyglądał się blankietowi i po raz pierwszy w ciągu trzydziestu dwóch lat pracy nie uwierzył w to co napisał.

Trzykrotnie przebiegł szybko oczami papier, ale uporczywie powtarzały się słowa: „Umarł Włodzimierz Iljicz Lenin“. Stary telegrafista skoczył na nogi, podniósł zwiniętą w spiralę taśmę, wpił się w nią oczami. Dwumetrowa taśma potwierdziła to, w co nie mógł uwierzyć! Odwrócił trupio bladą twarz w stronę swych współpracowników; usłyszały w tej chwili jego wystraszony krzyk:

— Lenin umarł!

Wiadomość o ciężkiej stracie wysłiznęła się z telegrafu w otwartą na oścież drzwi i z szybkością wichru obiegła dworzec, wypadła w zamieć śnieżną, zawirowała po torach i zwrotnicach i mroząc wszystko wpadła w na wpół otwartą, okutą żelazem bramę remizy parowozowej.

W remizie stał parowóz, który naprawiała brygada, zajmująca się bieżącym remontem. Stary Polentowski sam wlaź pod swój parowóz i wskazywał ślusarzom uszkodzenia. Zachar Buzzak wyprostowywał z Artiometem zgięte pręty paleniska. Trzymał je na kowadle, podstawiając pod uderzenia młota Artioma.

W ciągu ostatnich kilku lat Zachar postarzał się. To, co przeżył, wryło na jego czole głęboką bruzdę, skronie przyprószyły siwizną. Plecy się zgarbiły, a głęboko zapadłe oczy były pełne smutku. W oświetlonym otworze drzwi mignęła sylwetka człowieka i rozplynęła się w wieczornym zmierzchu. Łoskot uderzeń pochłonął pierwszy krzyk, ale kiedy człowiek zbliżył się do stojących koło parowozu ludzi, Artiom, który podniósł w górę młot, nie opuścił go.

— Towarzysze! Lenin umarł!

Młot osunął się wolno z ramienia — ręką Artioma opuściła go bezwładnie na cementową podłogę.

— Coś powiedział? — Artiom wpił się rękami w kozuch tego, który przyniósł straszną wiadomość.

A ten obsypany śniegiem, ciężko dysząc, powtarzał już głuchym urywanym głosem.

— Tak towarzysze, umarł Lenin.

I ponieważ nie krzyczał już więcej, Artiom pojął pełną grozy prawdę i teraz dopiero przyjrzał się twarzy człowieka: Był to sekretarz organizacji partyjnej.

Z rowu remontowego wychodzili ludzie i milcząc słuchali wiadomości o śmierci tego, którego imię znał cały świat.

Przed bramą, tak że wszyscy drgnęli, zawył parowóz. Z drugiego dworca odpowiedział inny, potem trzeci... Do ich potężnego i trwożnego krzyku przyłączył się głos syreny elektrowni wysoki i przeraźliwy jak wycie szrapnelu. Swoim czystym głosem szpiżowym zagłuszył je szybkie olbrzym „S“, parowóz pociągu osobowego gotowego do odejścia w kierunku Kijowa.

Maszynista polskiego pociągu bezpośredniej komunikacji Szepietówka-Warszawa dowiedziawszy się o przyczynie syren alarmowych, przysłuchiwał się chwilę, potem wolno podniósł rękę i pociągnął w dół łańcuszek otwierający wentyl syreny.

Tłum ludzi zapelniał remizę, płynął przez wszystkie cztery bramy, a kiedy ją zapelnili — rozległy się wśród grobowego milczenia pierwsze słowa:

Mówił sekretarz szepietowskiego komitetu okręgowego partii.

— Towarzysze! Umarł wódz proletariatu międzynarodowego, Lenin.

...Dźwięki marsza żałobnego, setki obnażonych głów — i Artiom, który w ciągu ostatnich 15-tu lat nie uronił ani jednej łzy — poczuł jak skurecz chwycił go za gardło a potężne plecy poczęły drgać.

Zdawało się, że ściany klubu kolejarzy nie wytrzymały naporu mas ludzkich. Na ulicy trzaskający mróz, dwie rozłożyste jodły u wejścia całe w płatkach śnieżnych i lodowych igielkach, ale tu jest duszno od rozpalonego pieca i oddechu 600 osób obecnych na posiedzeniu żałobnym organizacji partyjnej.

Nie słychać było na sali zwykłego szumu rozmów. Wielki smutek przytłumił głosy. Ludzie mówią szeptem i w wielu oczach widnieje bolesna trwoga. Zdawało się że zebrała się tu załoga okrętu pozbawiona swego doświadczonego sternika, którego wicher uniósł w morze...

Maria Wisłowska

PARYŻ

Kiedy Piotr był po raz pierwszy w Paryżu, był jeszcze małym Piotrusiem i zadawał mamę ustawicznymi pytaniami:

— Mamusiu, a co to? A to? A po co, a dlaczego?

Mamusia mocno trzymała Piotrusia za rączkę, żeby nie zgubił się na gwarnych bulwarach i z niekończącą się cierpliwością objaśniała:

— To widzisz, Piotrusiu, wieża Eiffel. Wybudował ją inżynier Eiffel, ma 300 metrów wysokości, a jakbyś stanął na samym wierzchołku, to byś poczuł, że chwieje się od wiatru. I zobaczyłbyś z góry cały Paryż jak na dłoni.

— Wdrapiemy się tam kiedy, mamo — prosił Piotruś.

— Za mały jesteś, synku, nóżki by cię rozboleły.

— A kiedy pójdziemy?

— Jak będziesz duży.

Piotruś bardzo chciał być duży i zobaczyć Paryż „jak na dłoni”. Ale kiedy przyjechał po raz drugi do Paryża, był już wprawdzie duży, ale na wieżę Eiffel nie mógł się dostać. Bo w Paryżu byli wtedy Niemcy. Opasłe „szwabym” w zielonych mundurach tłoczyli się po schodach wiodących na szczyt wieży, pisali stamtąd widokówki do swych rodzin — z pychą, że są w najpiękniejszym mieście świata, które zdobyli i w którym myśleli, że pozostaną na zawsze. Piotr nie wiedział, czy wolno cywilom wchodzić na wieżę, ale nawet nie chciał się dowiadywać. Myśl o tym, że będzie musiał stać obok tych grubych, rozpychających się żołdaków i stamtąd patrzeć na panoramę Paryża, była mu tak przykra, że wołał nie próbować.

A zresztą, wiele się przez ten czas zmieniło. Kiedy Piotruś był mały, chodził z mamusią do Ogrodu Luksemburskiego, mamusia siedziała na ławce w cieniu platanu, a Piotruś wraz z innymi dziećmi, kucnąwszy nad brzegiem sadzawki, puszczał małe żaglowce na wodę i cieszył się, gdy daleko odpływały.

Potem mamusia wołała go, otrzepywała mu ubranko z piasku i mówiła:

— Chodź, Piotrusiu, na obiad.

— A potem pójdziemy na spacer? — dopytywał się Piotruś.

— Pójdziemy, synku.

Zjadali obiad w małej restauracyjce, przy stoliku, który stał sobie zwyczajnie na ulicy pod markizą w kolorowe pasy; Piotruś dziubał sardynkę widelczykiem i zagryzał pyszną długą białą bułką, potem dostawał salatek z oliwą, a na deser — serek śmietankowy z cukrem i mandarynkę. Na stoliku stała karafka z czerwonym płynem, i mama mówiła, że to jest wino, i że Piotruś dostanie wina, kiedy będzie już duży.

O, jakże pragnął wtedy być dużym! Nie przypuszczał, że kiedy będzie w Paryżu po raz drugi, będzie już — tak jak chciał — duży, choć jeszcze nie dorosły. Ale nie sądził, że będzie wtedy sam — że nie będzie wiedział, gdzie jest mama, ani ojciec, że znajdzie się w tym wielkim Paryżu sam jeden, i że będzie tęsknił, okrutnie tęsknił za rodzicami, za szkołą, za Warszawą, za Polską...

Chodził tymi samymi ulicami, które pamiętał jak przez mgłę. Tu na tym moście nad Sekwaną zatrzymywali się z mamą, i mama pokazywała mu kościół Nôtre Dâme, a pod dachem dziwnie powykęcane twarze jakby ludzkie a nie-ludzkie, uśmiechnięte czy wykrzywione tajemniczo. Pamiętał, że mama mówiła, że te fantastyczne figury nazywają się „chimery”, zapamiętał sobie to słowo, choć nie bardzo jeszcze wtedy rozumiał, co ono znaczy. Wieczorem Paryż błyszczał i śnił, jak czarodziejska choinka — ale Piotrusiowi kleiły się oczy, ledwo włókł nóżkami za mamą, i wśród zmrużonych rzęs barwiły się jakieś tęcze błyski, jakaś karuzela kolorów. Grymasił:

— Mamusiu, dosyć, chodźmy do domu!...

A mama odpowiadała z zachwytem:

— Nie widzisz, synu, jaki ten Paryż piękny! Zapamiętaj sobie co widzisz, kto wie, czy będziesz tu jeszcze raz!...

A oto gdy znalazł się „jeszcze raz”



w Paryżu — Paryż był już całkiem inny.

Był to Paryż głodny, chłodny i ciemny. Już nie musiał Piotr mrużyć oczu w powodzi barw i światła. Piękność tego miasta przygasała, całe jakby skuliło się, zmalało. Tak jakby wszyscy byli we wspólnej żalobie.

A najgorsze było to, że po bruku paryskim — po bruku miasta wolności i swobody — waleśali się, panoszyli nienawistni, opasli żołnierze „zwycięskiej” armii niemieckiej.

Gdy Piotr po raz pierwszy ujrzał defiladę niemieckich żołdaków, usłyszał łomot butów wyświeconych, wyglansowanych, zdających w paradnym kroku pod Łuk Zwycięstwa... czuł, że w gardle go ścisną od hamowanej pasji. Aż zęby zacisnął — i stał tak błądzący, z pięściami w kieszeniach, ze zwartymi szczękami, i tylko bał się, żeby łzy, które cisnęły się do oczu, nie popłynęły same po twarzy.

Nagle — wśród tłumu, stojącego w milczeniu na krawędzi chodnika, podczas gdy jeźdźnia maszerowały buty, buty, buty — usłyszał cichy gwizd przez zęby.

Ten gwizd był melodią. Melodią szeptałą, ledwo wydobytą, ale jakże przejmującą. Obejrzał się ostrożnie. Tuż za nim, tak że czuł jego oddech na szyi, stał wysoki chłopak, w cyklistówce naciśniętej zawadiacko na bakier. Miał na sobie granatową bluzę francuskiego robotnika. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Piotra, błyskając białymi zębami i zagwizdał, już nieco głośniej.

Piotr drgnął. Tak, nie mylił się. To była „Marsylianka”.

Odpowiedział uśmiechem. I obaj jak na komendę odwrócili się, wystąpili z tłumu i poszli obok siebie chodnikiem, przodzierając się przez zbity, milczący tłum.

Tak oto rozpoczęła się ich przyjaźń polskiego chłopca bez domu, bez matki i bez Ojczyzny i francuskiego robotnika, którego dom, rodzina i kraj stały się wkrótce najbliższą przystanią Piotra.

Marcel i Piotr stali się nierozłączni. Razem wędrowali po ulicach Paryża i Marcel pokazywał przyjacielowi z Polski takie zakamarki, jakie znać może tylko rodowity paryżanin. Marcel był wesół jak ptak i jakby nic nie robił sobie z okropności okupacji.

— Nie damy się, bracie — mówił, klepiąc go po ramieniu. — Wygnamy szkopów, nie bój się! Widzisz tę sztukę?

I wyjmował ukradkiem z kieszeni nieduży, ślicznie wyczyszczony, polerowany rewolwer.

— Bój się Boga. Marcel — szepnął Piotr — przecież za to... pod ścianę... i na śmierć...

Marcel gwizdał przeciągle:

— Fiu!... Raz się żyje! A żeby ciebie tak strach nie oblatywał — chcesz, dam ci zlecenie? Siądziesz na rower i dwóje takich sztuczki zawieszysz pod jeden adres. Mały jesteś, i nie Francuz, nie będą się ciebie czepiali. No, chcesz czy nie, gadaj?

Jakże było odmówić? — Prawdę mówiąc, bał się Piotr tylko pierwszy raz, gdy tak pedałował po ulicach Paryża z plecakiem, a w plecaku między bochenkami chleba na dnie: dwa rewolwery. A potem — przyzwyczaił się. Chodził sobie po bulwarach jak gdyby nigdy nie, a w kieszeni... Raz się natknął na jakiegoś Niemca, zderzył się z nim, zdawało mu się, że szczerknął rewolwer w kieszeni, gdy tak otarli się o siebie. Ale szwab jakoś nic, mruknął coś pod nosem, wybaluszył rybie ślepią i poszedł dalej. Piotr przystanął. Otarł pot z czoła. A potem rażno ruszył dalej.

Uwierzył: „wygnamy szkopów”. A potem — do Warszawy, do mamy, do ojca, do „budy”.

Zaprawiony w „Ruchu Oporu” — gdzie wiedział, jak z Polski, z własnego kraju, wygnać znielowidzonego najeźdźcę.

Aż przyszedł sierpień roku 1944. Niezapomniane godziny Wyzwolenia. Front niemiecki załamał się z trzaskiem. Francja gnębiona od czterech lat rozprostowała ramiona, odetchnęła z ulgą. Paryż porwał za broń, nie czekając na przybycie oswoobodzicieli. Niemcy uciekali w panicznym strachu, za Ren, skąd przybył w maju 1940 roku na „podbój świata”.

Znów rozchwiały się na wietrze chorągwie, trójkolorowe sztandary Francji. I z wszystkich piersi buchnęła płomienna Marsylianka — pieśń wolności i braterstwa, pieśń z w y c i ę s t w a!...

HELENA BOBIŃSKA DROGA DO SŁAWY

Niedawno była w Polsce wielka uczona francuska panna Joliot - Curie wraz ze swoim mężem F. Joliot - Curie. Przyjechali tu dlatego, że są polskimi Polakami, że chcą zobaczyć, jak im tu żyje, jak pracują. Mężczy Polaka a Francja zawsze szanowała polski wkład w naukę, która teraz po wojnie znacząco się jeszcze bardziej rozwinęła.

Alle jeszcze coś innego ciekawo pomyślała Joliot do Polski. Polska jest Ojczyzną matki, brony Joliot, matki i siostry polskiej uczony — Marii Curie - Skłodowskiej, o której opowiadał drukowany poster.



Marie Curie-Skłodowska w swojej pracowni

Było to w Paryżu w 1892 roku. W jednej z kręwych i wąskich uliczek „Quartier Latin” (studenckiej dzielnicy Paryża), przy prostym kuchennym stole siedziała w pustej prawie izdebce na szóstym piętrze młoda, uroczą dziewczyna. Zamiarując palec w jasne punkle włosów, zagłębiała w czytaniu zapomnianą o całym świecie. Krol w natłowej lampie zacięła niepokojąco migotała. Rada nieprada dziewczyna zamylała księżkę, gasi światło. Ale głowę ma jeszcze pełną tych nadzwyczajnych myśli, które budzi w niej księżka. Otwiera na oścież niewielkie okienko — spogląda na polyskujące od deszczu dachy, na ciche, nispone uliczki. To Paryż! Nie sen to? Nie marzenie? Ona Maria Skłodowska, niedawno jeszcze skromna, przywala nauzczytelka warszawska, przygotowująca dzieci do szkół — w Paryżu? Jest studentką Sorbony, najwzjęszego, najslawniejszego Uniwersytetu na świecie? I może uczyć się, uczyć od światła do późnej nocy? Maria wie, że ojciec, stary profesor fizyki w Warszawie, z trudem odkłada dla niej co miesiąc 40 rb., pozostawiając się wielu przyjemności. Za dwa, najwyżej trzy lata Maria musi otrzymać dyplom nauzczytelki. Wróci wówczas do swej ukochanej Warszawy, będzie wykładać fizykę, jak ojciec, i mgły się już nie rozstana. Maria stara się nie tracić ani jednej godziny z tych drogoceńnych lat. Rędy wolno jej się uczyć. Bo im bardziej zagłębia się w naukę, tym do bliżej czuje, jak mało jeszcze umie. Jak wiele musi jeszcze zdobyć. Więc wszystko, co jej przeszkadza w nauce odsuwa na bok. Dąsała się na nią koleżanka — Polka w Uniwersytecie za to, że unika ich wesołych koleżeńskich wieczorków — gniwa się na nią jej siostra, Bronia, żona doktora Dzińskiego i sama już doktor medycyny. W ich obywatelnym, wygodnym domu Maria nie znalazłaby glezi, ani kłopotów, miałaby wszystkie pod dostatkiem. Ale Maria jest uparta. Właśnie z tego wesołego, zasobnego domu siostry przeniosła się do ubogiej izdebki na szóstym piętrze. Z domu siostry daleko jest do Uniwersytetu, a oprócz tego zbyt lam i wesoło, za dużo rozrywki i przyjemności. Maria nie ma czasu. W zimnej mansardzie, na 6 piętrze — Maria surowo rozplanowała swój dzień i swoje fundusze. Trzeba oszczędzać węgiel, trzeba oszczędzać naty. O 7 rano Maria już jest na nogach. Biegnie na wykłady albo do laboratorium. Nadechł czas egzaminów, na dyplom nauzczytelki. Maria zdaje świetnie i nie jeden, a dwa od razu: i z fizyki i z matematyki.

— Maria zawahała się. — Nazwijmy... nazwijmy go: Poloni! — powiedziała wreszcie. Przyszło jej bowiem na myśl, że wiesz o tym zdumiewającym odkryciu rozmiesz się szeroko po świecie. Niechajże również wszelkie imię jej Ojczyzny!

Poloni świeży w elastyczności został odkryty. Ale już pierwsze badania nad rudą, zawierającą poloni, gotowały Marii nową niespodziankę.

Doświadczenia chemiczne wskazywały wyraźnie, że w rudzie uranu oprócz poloni znajdują się jeszcze jakiś nieznanym metal, świecący jakis nieznanym. — Nazwijmy go „Rad” — powiedziała Maria — gdyż jest on najbardziej radioaktywny ze wszystkich metali na świecie. Teraz wiemo już było, że w rudzie uranu znajduje się jakiś tajemniczy metal — rad. Ale znajduje się w tak drobnych ilościach, że trudno było go zobaczyć, a nie zmierzwić siły jego promieniowania — nie sposób. Aby otrzymać odrobinkę radu, trzeba przetopić kilka tysięcy kilogramów rudy uranu.

A skąd mieć taką kłupę tej rudy, która jest bardzo drogą? Gdzie znaleźć budynek, aby taką masę rudy przelopić?

Po długich poszukiwaniach znalazł się pomieszkanie. Stara szopa z gliniany podłogą i dziurawym oszklonym dachem. Ruda uranu z wielkimi trudnościami Maria sprowadziła aż z Czech, gdzie są jedynym w Europie jej kopalnie.

Cztery lata trwała walka Marii z tym tajemniczym metalem, który uparcie chwiał się przed nią i za nie chciał się oddzielić od brnatnej rudy.

W grubym płóciennym kiltu z wielką wagażką w ręku od wczesnego ranka stała Maria nad ciężkimi sarganami, w których pławila się ruda uranu. Jadowite gazy gryzły oczy, lamowały oddych. Trzeba było pawić rudę na dzień, przewierać roztopioną masę w wielkie naczytnia.

W szopie, przy długim stole, Piotr Curie badał roztopioną rudę w korbach szklanych.

Piotr Curie, choć był silnym mężczyzną, upadał ze zmęczenia. I widząc, jak Maria co dzień siada się mizeriósą i młynie w oczach, próbował uzyskać zawieszenie bromu w tej wojnie z tajemniczym metalem.

— Może odpocząć trochę? Może oddać się na później te badania? — proponował nieśmiało.

Ale Maria jest uparta. Jest bardzo uparta od radu, który się przed nią chwiał. Narzędzie po 4 latach uporczywej walki, Maria zwycięża. Udało jej się otrzymać jedną dziesiątą grama radu.

(Dalszy ciąg nastąpi)



WIKTOR HUGO

GAVROCHE

(Fragment z powieści „Nędznicy“)

Akcja tej powieści rozgrywa się w Paryżu podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Mały ulicznik Gavroche (czyt. Gawross) bierze czynny udział w walkach i ginie na barykadzie.

Gavroche wszedł na ulicę l'Homme Armé.

Gavroche podniósł oczy i zdawał się czegoś szukać. Widział doskonale Jana Valjeana, ale nie zwracał na niego uwagi.

Popatrzawszy się w górę, spojrzął na dół, wspiął się na palcach i dotykał drzwi i okien na dole; wszystkie zamknięte i zaryglowane. Tak obejrzawszy kilka okiennic zabarykadowanych, ulicznik wrzucił ramionami i zaklął. Potem znowu zaczął patrzeć w górę.

Jan Valjean, który przed chwilą nie przemówiłby słowa do nikogo, mimo woli odezwał się do dziecka:

— Czego chcesz mały?

— Głodny jestem — odpowiedział Gavroche i dodał. — Sam pan mały.

Jan Valjean poszukał w kieszeni i wyjął sztukę pięciofrankową.

Ale Gavroche, z właściwą sobie ruchliwością ptasim, już zajął się czym innym i podniósł kamień. Zobaczył latarnię.

— Co u licha, macie tu jeszcze latarnię, nie jesteście w porządku, moi przyjaciele, trzeba to zbić.

I rzucił kamieniem w latarnię, której szyby wypadły z takim łoskotem, że mieszkańcy, skryci za firankami w sąsiednim domu, zawołali:

— Otóż macie, rok dziewięćdziesiąty trzeci!

Latarnia zakolysała się gwałtownie i zgasała. Na ulicy nagle stało się ciemno.

— Otóż to tak, stara ulico — rzekł Gavroche — włóż teraz na głowę szlafmycę.

I obróciwszy się do Jana Valjeana dodał:

— Jak pan nazywasz ten tam olbrzymi gmach w końcu ulicy. Wszak to archiwum, nieprawdaż? Należało by troszkę pomięścić te głupie słupy i zrobić z nich barykadę.

Jan Valjean zbliżył się do Gavrocha.

— Biedne dziecko — rzekł półgłosem jakby do siebie — jest głodne.

I włożył mu w rękę pięć franków.

Gavroche podniósł nos, zdumiony wielkością białej monety. Przypatrywał jej się w ciemności i zachwycał jej blaskiem. Znał pięciofrankówki tylko ze słyszenia, podobała mu się ich reputacja, a widok oczarował. Powiedział tedy: — Przyjrzyjmy się tygrysowi.

Oglądał chwilę, potem obrócił się do Jana Valjeana, oddał mu pieniądze i rzekł majestatycznie:

— Obywatelu, wolę rozbijać latarnię. Zabierz swoje dzikie zwierzę. Nie dam się przekupić. Ma to pięć szponów, ale mnie nie drażnie.

— Masz matkę? — zapytał Jan Valjean.

Gavroche odpowiedział:

— Może lepszą od pana.

— Więc — rzekł Jan Valjean — schowaj te pieniądze dla matki.

Gavroche się zawahał. Zresztą zauważył, że człowiek, z którym rozmawiał, nie miał kapelusza i to wzbudziło w nim zaufanie.

— Doprawdy — rzekł. — Nie po to pan dajesz, żebym tłukł latarnie?

— Tłucz, co ci się podoba.

— Jest pan dzielny człowiekiem — rzekł Gavroche.

I włożył pięć franków do kieszeni.

Nabrawszy zaufania rzekł:

— Pan jest z tej ulicy?

— Tak, dlaczego?

— Czy może mi pan wskazać numer siódmy?



— Po co ci numer siódmy?

Chłopiec zatrzymał się, lękając się, czy za dużo nie powiedział, zapuścił paznokcie we włosy i odpowiedział tylko:

— A, otóż to!

Pewna myśl przemknęła w umyśle Jana Valjeana. Niepokoń bywa przenikliwy. Rzekł do chłopca:

— Może przynosisz list, na który czekam?

— Pan? — rzekł Gavroche — pan nie jesteś kobietą.

— List jest do panny Kozety, wszak prawda?

— Kczeta — mruknął Gavroche — zdaje mi się, że właśnie to śmieszne imię.

— Otóż ja mam jej list oddać. Daj go.

— W takim razie powinieneś pan wiezieć, że jestem przystany z barykady?

— Ma się rozumieć.

Gavroche zanurzył rękę w kieszeni i wyjął papier złożony w czworo.

— Daj — rzekł Jan Valjean.

Gavroche trzymał podniesiony nad głową papier.

— Nie wyobrażaj pan sobie, że to biłecik miłosny. To do kobiety ale i dla ludu. My, wojownicy, szanujemy pięć piękną. Nie jesteśmy jak te lwy wielkiego świata co nabierają gąski.

— Dawaj.

— Zresztą — mówił dalej Gavroche — masz pan minę dzielnego człowieka,

— Dawaj żywo.

— Masz pan.

I oddał papier Janowi Valjean.

— Spiesz się, panie Ktoś, bo panna Kozeta czeka.

Gavroche zadowolony był z tego konceptu.

Jan Valjean zapytał:

— Czy odpowiedź należy odnieść do Saint Merry?

— Grubo byś się pan omylił — odpowiedział Gavroche. — List pocnodzi z barykady ulicy Chanverrie i tam powracam. Dobranoc, obywatelu.

To powiedziawszy Gavroche odszedł, albo lepiej mówiąc, poleciał jak ptak, który się wyrwał z klatki. Z szybkością strzały pograżył się w ciemnościach, jakby je przebiegał; ulica l'Homme Armé znowu stała się cichą i samotną, w jednym mgnieniu oka to dziwne dziecko, złożone z cienia i snu, zniknęło jak dym w ciemnościach. I byłbyś pewny, że rozwiął się w powietrzu, gdyby w kilka minut po jego zniknięciu nagły brzęk i wspaniałe szczekot padających na bruk szyb latarni nie rozbudził znowu oburzonych mieszkańców. To Gavroche przechodził ulicą Chaume.

Wszystko było gotowe. Barykada, która milczała od tak dawna, nagle dała ognia, z radością i wściekłością nastąpiło po sobie siedem czy osiem salw, ulica wypełniła się oślepiającym dymem, i po kilku minutach, poprzez mgłę zmieszana z ogniem, z trudem można było zobaczyć dwie trzecie artylerzystów zwisających na kołach armat. Ci, którzy pozostali, z surowym spokojem nie przestali obsługiwać dział; ale ogień był już mniejszy.

Eniorlas wznosił głowę i powiedział:

— Jeszcze kwadrans takiego powodzenia, a nie będzie nawet dziesięciu nabołów na barykadzie.

Zdaje się, że Gavroche usłyszał te słowa.

Courfeyrac nagle spostrzegł, że ktoś z barykady wysunął się na ulicę, na grad kul i kartaczy.

Gavroche wziął z szynkowni koszyk od butelek, wyszedł przez przekop i spokojnie zajął się wypróżnianiem ładownic gwardzistów narodowych zabitych pod barykadą.

— Co ty tam robisz? — zapytał Courfeyrac.

Gavroche odpowiedział:

— Obywatelu, napelniam koszyk.

— To nie widzisz, że kartaczują?

Gavroche odpowiedział:

— A tak, grad pada. Więc co?

Courfeyrac zawołał:

— Wracaj!

— Zaraz, zaraz — odrzekł Gavroche.

I jednym skokiem rzucił się w ulicę.

Dym strzałów tworzył gęstą mgłę na ulicy. Ta ciemność prawdopodobnie pożądana dla dowódców, kierujących szturmem do barykady, użyteczną była dla Gavrocha.

(Dalszy ciąg na str. 7)

Opr. M. Lutoslawska 2)

Zaczarowany czerpak

(Baśń grecka)

Ruchy jego były niezmiernie lekkie i żywe.

— Chodziłem także szybko w swej młodości — odezwał się Filemon — ale pod wieczór bywałem trochę zmęczony.

— Bo nie ma jak dobra laska — odpowiedział podróżny — ja właśnie mam doskonałą.

I pokazał swój dziwny, istotnie niezwykle wyglądający kij, zrobiony z drzewa oliwnego. U góry miał on parę skrzydełek, a cały był owinięty splotami dwóch rzeźbionych w drzewie węzów. Dzięki misternej robocie słabym oczom Filemona węże wydały się w pierwszej chwili żywe.

— Ciekawa robota — zauważył. — Skożydlaty kij! Byłby doskonały do konnej jazdy dla małego chłopca.

— W tej chwili Filemon i dwaj wędrowcy dochodzili właśnie do drzwi domu.

— Wejdźcie, przyjaciele — zaprosił starzec — i spoczniście na ławie. Moja żona, Baucis, poszła zakrzętać się koło wieczerzy. Jesteśmy ubodzy, ale chętnie podzielimy się tym, co mamy.

Młodszy podróżny usiadł niedbale na ławie upuściwszy na ziemię swój kij. I tu się stało właśnie coś niezwykłego. Kij podniósł się sam, rozpostarł skrzydełka, podleciał do ściany i oparł się o nią.

Zanim Filemon zdumiony dziwnym zjawiskiem zdążył o coś zapytać, starszy gość odwrócił jego uwagę od kija zapytaniem:

— Nie wiecie, czy w dawnych czasach nie było tu wielkiego jeziora, co zajmowało całą przestrzeń, na której znajduje się wioska?

— W moich czasach? nie, przyjacielu, a jestem już dosyć stary, jak widzicie. Odkąd pamiętam, były tu zawsze łąki, lasy i strumień w dolinie.

— A jednak — przemówił cicho i głębokim głosem nieznanym — byłoby lepiej dla mieszkańców tej wioski, którą

zapomnieli widocznie o tym, iż należy być dobrym, żeby jezioro szumiało znowu nad ich głowami.

Zmierzchało się.

Baucis przyrządzała wieczerzę, a podróżni gawędzili przyjaźnie z Filemonem. Młodszy gość był rozmowny i tak dowcipny, że staruszek nieustannie wybuchł śmiechem i wreszcie stwierdził, że nie widział weselszego młodzieńca.

Ośmielwszy się cokolwiek zapytał o jego imię.

Młodzieniec nazywał się Merkury. Na pytanie, jakie imię nosi starszy podróżny, Merkury spojrział tajemniczo i odpowiedział:

— Niech grzmot ci odpowie. Każdy inny głos jest za cichy, żeby wymówić to imię.

Starszego podróżnego znamionowała powaga, ale jakby i groza, i wspaniałość, która się odbijała w całej jego postaci i mowie.

Filemon opowiadał swobodnie o swoim życiu, o tym, jak zgodnie i szczęśliwie żył tu już wiele lat ze swoją wierną Baucis i o tym, że jedynym ich pragnieniem byłoby, żeby mogli umrzeć razem, tak jak razem przeżyli całe życie. Cudzoziemiec słuchał z wielką życzliwością.

— Jesteś zacyym człowiekiem — odezwał się — ty i twoja dobra żona. Zasługujecie na to, żeby to wasze pragnienie zostało spełnione.

Baucis podała wieczerzę usprawiedliwiając się, dlaczego jest tak uboga.

Gdybyśmy wiedzieli, że będziemy mieli gości — nie jedlibyśmy tyle z Filemonem i nie robiłabym dziś sera z najlepszego mleka, jakie miałam. Mój Boże, nigdy nie jest mi przykro, że jesteśmy biedni, tylko wtedy, kiedy ubogi podróżny puka do naszych drzwi.

— Wszystko jest doskonałe, moja dobra pani — odezwał się uprzejmie starszy. — Przy tak gościnnym i serdecznym przyjęciu nawet zwykła strawa smakuje jak najwspanialsze potrawy.

— Dostaniecie jeszcze trochę miodu i winogron.

— Ale, mateczko Baucis, to prawdziwa ucztą! — zawołał Merkury. — Co prawda chyba nie byłem nigdy w życiu taki głodny jak dziś.

— Na Boga! — szepnęła do Filemo-

na — jeśli ten młody jest taki głodny, to na pewno będą mieli za mało!

I wszyscy weszli do chatki. Tu się stała rzecz przedziwna. Kij Merkurego, zostawiony przy wejściu, rozpostarł skrzydełka i fruwał po schodach, aż wreszcie zatrzymał się z całą powagą przy jego krześle. Filemon i jego żona, zajęci gośćmi, nie spostrzegli tego niezwykłego zjawiska.

Wieczerza była istotnie cokolwiek za skąpa na dwóch zgłodniałych podróżnych. Na środku stołu znajdował się kawał razowego chleba i sera oraz miseczka z plastrzem miodu. Oprócz tego dla każdego z gości było spore winne grono. Poza tym stał gliniany czerpak z mlekiem, który prawie zupełnie się opróżnił po nalaeniu dwóch kubków dla podróżnych.

Podróżnym bardzo smakowało mleko, które wypili jednym tchem



— Jeszcze trochę mleka, miła mateczko Baucis, jeśli łaska — poprosił Merkury.

— Kochani moi — odpowiedziała zmieszana Baucis — przykro mi i wstyd naprawdę! Ale w czerpaku zostało zaledwie parę kropli.

— Mnie się wydaje, że nie jest tak źle — powiedział Merkury wstając od stołu i biorąc czerpak do ręki. — Jeszcze jest trochę mleka w czerpaku.

(Dokończenie nastąpi)

Pod tą zasłoną dymu i dzięki swej drobnej postaci, niepostrzeżony posunął się daleko w ulicę.

Czołgał się na brzuchu, cwałował na czworakach, trzymając koszyk w zębach, kręcił się, posuwał, wil jak wąż.

Z barykady, przy której był jeszcze dość blisko, nie śmiano krzyżeć na niego, by nie zwrócić uwagi oblegających.

Tak posuwając się dotarł do punktu, gdzie dym strzałów stawał się przezroczysty.

Kilku tyralierów piechoty, stojących przy lawecie nagle poczęło pokazywać sobie coś poruszającego się w dymie.

W chwili, gdy Gawroche zabierał ładunki sierżantowi leżącemu przy barierze, kula uderzyła trupa.

Druga kula skrzesała ogień na bruku tuż przy nim.

Trzecia obaliła koszyk.

Gawroche spojrział i zobaczył, że strzały pochodziły od gwardii przedmieścia.

Wstał, wyprostował się, ujął się pod bo-

ki i z rozpuszczonymi na wiatr włosami beczelnie patrzył na strzelających gwardzistów i zaśpiewał.

Potem podniósł koszyk; zebrał do niego ładunki, które wypadły na bruk i postąpił ku strzałom, szukając nowej ładowicy. Tam czwarta kula chybiła go jeszcze, Gawroche zaśpiewał.

Tak trwało pewien czas.

Widok był straszny. Gawroche, obrany za cel strzałów, kpił ze strzelaniny. Zdawał się bawić wysmienicie. Był to wróbel, dziobiący strzelców. Na każdy wystrzał odpowiadał zwrotką. Strzelano doń nieustannie i zawsze chybiało. To padł plackiem na ziemię, to powstał, to rzucił się w kąć bramy, podskoczył, zniknął, ukazał się znowu. Na strzelanie odpowiadał finfą a tymczasem chwycił ładunki, wypróżniał ładownice i napelniał koszyk. Powstańcy niespokojnie śledzili go oczyma. Barykada drżała; dzieciak śpiewał. Nie był to dzieciak, nie był to człowiek, ale jakiś dziwny ulicznik-czarownik. Rzekłbyś nietykalny karzełek

zawieruchy. Kule uganiały się za nim, on był zwinniejszy od nich.

Jedna wszakże kula, lepiej wymierzona lub bardziej zdradziecka od innych dosięgła nareszcie chłopca-ognika. Gawroche zachwiał się i upadł. Cała barykada wydała okrzyk. Dla ulicznika dotknąć się bruku, to jak dla olbrzyma dotknąć ziemi. Upadł, ale zaraz się wyprostował i usiadł na bruku. Długa wstęga krwi opasywała mu twarz; podniósł obydwie ręce w powietrze, spojrzął w stronę, skąd wyszedł strzał i zaczął śpiewać:

Los mnie w błocie poniewiera,
Wina w tym pana Voltera,
Nosem w rynsztok dałem susa,
Jest to wina...

Nie dokończył. Druga kula tego samego strzelca przerwała mu śpiew. Tym razem twarzą powalił się na bruk i już się nie poruszył.

Wielka duszą małego człowieka ulicą.

Oskrzacikowych butkach bajeczka mała

Czy słyszeliście o skrzacie?
Mieszkał skrzat w Jaśkowej chacie.
Mieszkał w szparze, jak wypada,
ziarnko maku na raz zjadał.
Gdy apetyt sprzyjał wielki,
łykał miodu dwie kropelki.

A tam w chacie myszka była,
i tak skrzata raz prosiła:



— Jestem myszka ogoniasta,
bal urządzam dziś i basta.
Więc przyjdź dzisiaj w moje progi,
miły skrzacie, skrzacie drogi.
Będiesz tańczył w pierwszej parze,
zaufaniem cię obdarzę.

— Przyjdę — rzekł skrzat miłym głosem.
— Ale, że mam nóżki bosc,
mocne butki sobie sprawię,
by na mysiej być zabawie.

Uszyć butki! — Skrzata nęka.
Toć potrzebna skórka miękka,
toć potrzeba dratwy z nitką,
by zmajstrować je niebrzydtko.

Poszedł do pajęczka w kątku.
— Daj mi nitki, mój pająku.



Poszedł potem do różyczki
co w donicy miał ją Jasiek.



— Daj różyczko ostry kolec!
Kolec twój na dratwę zda się.

No, a skórki miękkiej, gładkiej
dały skrzacikowi kwiatki.
Płatki śliczne, płatki modre
na buciczki bardzo dobre.

Co wam powiem, to wam powiem:
wyszły butki, co się zowie.
Jak je skrzat na nóżki włożył,
jak w nich tańczył w mysiej norze,
jak się udał ten bal myszek,
żadne pióro nie opisze.



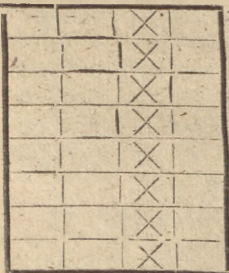
Wiesć o bału, jak się zdarza,
doszła uszu gospodarza.
Pobiegł z nią do gospodyni:
— Gospodyni, co się czyni —
pająk mieszka pod sufitem
i jak słyszę jeszcze przytem
myszy tańczą pod podłogą!
Ukróć że to miotłą srogą!

Poszły myszki precz na pole,
na swą dolę i niedolę.
Norę mają dziś pod lasem.
Skrzat je tam odwiedza czasem.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

KĄCIK ROZRYWKOWY

LAMIGŁÓWKA



Odgadnijcie osiem czteroliterowych wyrazów i umieśćcie je w kratkach oznaczonych krzyżykami, odpowiednio ułożone dadzą w rozwiązaniu nazwę bardzo popularnego miejsca w Warszawie.

Znaczenie wyrazów: 1. Gruby sznur okrętowy. 2. Zwierzę domowe. 3. Przyrząd służący do szycia. 4. Górna kończyzna. 5. Zbiornik wody stojącej. 6. Imię męskie. 7. Przyrząd służący do kierowania łodzią lub statkiem. 8. Zwierzę z rodziny kotów.

LAMIGŁÓWKA

czło	przy	wier	pies
niej	to	ciel	ka
ja	wie	szy	naj

Ruchem konika szachowego odczytaj rozwiązanie, zaczynając od kratki, oznaczonej cyfrą 1.

Ruch konika: dwie kratki w bok, jedna w górę, lub w dół. Dwie kratki w górę, lub w dół, jedna w bok.

ROZWIĄZANIE z Nr 1 (60)

ZAGADKI:

1. Szała
2. Ziemiaki
3. Rządkiwka
4. Fortepian
5. Nuty

6. Skrzypce
7. Fujarka
8. Trąbka
9. Beben

BILECIKI:

Kasjer, rymarz, literat, księgarz, jubiler, bednarz.

DOPELNIANKA:

Już nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Dzieci cieszą się na choinkę i zabawki: Po lekcjach siadają do stołu, tną kolorowe papiery i słomę i robią ozdoby na choinkę. Jakże pięknie wyglądać będzie drzewko, gdy się je ubierze i zapali świeczki i zimne ognie.

ROZSYPAŃKA:

Kopalnie śląskie dają nam węgiel.

LAMIGŁÓWKA:

KraWędz, baRan, kOs, C. kŁy, siAno, sŁoWnik.

WROCLAW